SOSNOWIEC. KATOWICE.

KURJER ZACHODNI

»ISKRA«

Dziennik polityczny, gospodarczy i literacki.

ROK XVIII. PONIEDZIAŁEK 21 MARCA 1927 ROKU. Nr. 79.

Prenumerata miesięczna Zł. 3.50. Konto czekowe P. K. O. — Warszawa — 61.558 Cena egzemplarza 20 groszy.

Nie damy ziemi skąd nasz ród!

Imponująca manifestacja w rocznicę plebiscytu na G. Śląsku.

Wczoraj o godz. 8.40 rano przybyli do Katowic, celem wzięcia udziału w uroczystościach, związanych z obchodem 6 rocznicy plebiscytu na G. Śląsku p. minister Kwiatkowski jako reprezentant p. Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu, gen dyw. Romer w imieniu marszałka Piłsudskiego, wicemarszałek Gdyk, jako przedstawiciel Sejmu Rzeczypospolitej. Na uroczystość przybyli ponadto: jako delegat głównej komendy policji państwowej insp. W. Ludwikowski, pos. Polakiewicz, radca min. spraw wewnętrznych Kalkstein i Hładki, radca min. spraw zagranicznych Gustaw Olechowski, sekretarz wicepremjera por. Zaćwilichowski, szereg delegacyj województw całej Rzeczypospolitej, oraz liczni korespondenci prasy zagranicznej i krajowej.

Na dworcu powitali przybyłych wojewoda Grażyński, burmistrz dr. Górnik, dow. 23 dyw. gen. brygady Zając, marszałek Sejmu Wolny, prezes sądu apelacyjnego dr. Stark, oraz członkowie komitetu obchodu z prezesem St. Małkowskim na czele.

Przybyli dostojnicy przeszli przy dźwiękach hymnu przed frontem kompanji honorowej 73 płk. piechoty, kompanji honorowej policji i powstańców śląskich, poczem udali się poprzez ulice odświętnie udekorowane flagami o barwach państwowych do katedralnego kościoła św. Piotra i Powła na nabożeństwo. Mszę św. celebrował ks. Walenta, uchodźca z Raciborza, kazanie zaś wypowiedział ks. Fross uchodźca z Zabrza.

W nabożeństwie poza gośćmi przybyłemi z Warszawy wzięły udział liczne delegacje, przybyła na obchód ze sztandarami oraz przedstawiciele miejscowych władz i instytucyj społecznych.

Po mszy św. zebrani w podniosłym nastroju odśpiewali „Boże coś Polskę“, poczem minister Kwiatkowski, wicemarszałek Gdyk, oraz gen. Romer udali się na śniadanie, wydane przez p. wojewodę Grażyńskiego w jego prywatnych apartamentach. Po śniadaniu o godz. 11 goście udali się na ulicę Trzeciego Maja, gdzie u wylotu ul. Wawelskiej przyjęli defiladę pochodu, będącego głównym punktem uroczystości śląskich.

Na pochód ten z całego Śląska przybyło około 150.000 członków różnych organizacyj. 69 pociągów nadzwyczajnych musiała dostarczyć dyrekcja katowicka, aby umożliwić przybycie na uroczystość tym wszystkim, którzy chcieli swoją obecnością zadokumentować polskość G. Śląska.

Imponujący ten pochód trwał przeszło 3 godziny.

Ogółem przedefilowało przy dźwiękach swoich orkiestr kilkadziesiąt różnych organizacyj śląskich ze sztandarami.

Do manifestujących wygłoszone zostały następujące przemówienia:

MOWA MIN. KWIATKOWSKIEGO Z OKNA TEATRU POLSKIEGO W KATOWICACH.

Dziś w dniu tak uroczystym i pamiętnym nietylko dla Was, ale dla Polski całej, jak długa i szeroka od morza Bałtyckiego po Tatry, przywożę Wam, przedstawicielom zwycięskiego ludu śląskiego, pozdrowienie i zapewnienie trwałej pamięci p. Prezydenta Rzeczypospolitej. Przynoszę wam pozdrowienie szefa rządu p. marszałka Piłsudskiego, p. wicepremjera Bartla i wszystkich członków Rządu.

Szósta rocznica plebiscytu na Śląsku, to pamiętny i radosny dzień, który historja zapisze potomności, obok Grunwaldu i Unji Lubelskiej, obok Konstytucji Majowej i Racławic. Spojrzmy dziś wstecz za siebie. Spojrzmy na minione lata, lata bliskie i dalekie. Ogień strawi i roztopi najtwardszą rudę, najtrwalszy metal, spali węgiel, woda spadając wiekami, po kropli chociażby, rozkruszy najszlachetniejszy najodporniejszy kamień, ale lud śląski twardym jest jak spiż, trwalszy niż metal najtwardszy, bardziej oporny niż kamień. Setki lat sączył się na tej ziemi piastowej nacisk w kierunku wynarodowienia. Przeciwko bezbronnemu ludowi śląskiemu stanęła do walki potęga wyposażona we wszelkie siły materjalne, któremi świat wogóle rozporządzać mógł. Wojsko, administracja, kapitały, wiedza i technika, wszystko to stanęło do długotrwałej walki o polską duszę, polską mowę, polską modlitwę ludu śląskiego. Dziś wrogo opancerzone moce rozpierzchły się i zwyciężył wielki, szary lud śląski i jego wola. Zadanie nasze nie jest jednak jeszcze skończone. Odebraliśmy własną Ojczyznę zniszczoną wojną i obcem panowaniem. Ileż to jeszcze biedy ludzkiej znajduje się w tym kraju bogatym i wyposażonym od natury. Jesteśmy jak człowiek na dorobku zdany na własne siły i na własną pracę. Musimy więc rozwinąć walkę, o rozwój własnego gospodarstwa narodowego. Musimy rozwinąć wszystkie nasze siły, któreby sprawiły, by przyszłe pokolenia stały się jaknajwiększą potęgą i zdobyły jak największy dobrobyt. Ideę tego programu twórczej pracy gospodarczej musi popłynąć na całą Polskę. Przedewszystkiem z tej, ziemi śląskiej, z tej ziemi, gdzie od dziesięciolecie wyrasta bojownk pracy, wyrasta wielki tłum robotniczy, który umie pracować i umie innym wskazywać jak trzeba z dnia na dzień twardą codzienną pracą budować własną Ojczyznę i jej potęgę. To też dziś w tej uroczystej chwili, cała Polska wiąże się z tobą, ludu i społeczeństwo śląskie i woła „Nie ma Polski bez Śląska i Śląska bez Polski!“ W imię tych wielkich haseł pracy i twórczości, która stąd winna popłynąć na całą naszą wielką Ojczyznę wnoszę okrzyk: „Niech żyje Polska“. (gromkie okrzyki), „Niech żyje Śląsk! niech żyje bohaterski lud śląski!“

PRZEMÓWIENIE WICEMARSZAŁKA GDYKA.

Z kolei zabrał głos wicemarszałek Sejmu p. Gdyk, który wygłosił następującą mowę:

Rodacy! Po 600-letniej niewoli po raz pierwszy dnia 20 marca 1921 r. usłyszał świat cały gromki głos ludu śląskiego domagający się w sposób stanowczy wynikiem plebiscytu i niejednokrotnych krwawych powstań przyłączenia prastarej dzielnicy piastowskiej do pnia macierzystego. Ani terror moralny, ani polityczny, ani też długotrwałe gnębienie nie mogły ludu śląskiego, ani jego wielkiego serca, które zawsze biło i czuło po polsku. W tych krwawych zmaganiach lud śląski wykazał najwyższe bohaterstwo i poświęcenie dla sprawy ojczystej, nie żałując życia, krwi i mienia. W dniach tej bohaterskiej walki, jak jasny promień jutrzenki błyszczał zawsze cel wojna, niepodległa i zjednoczona Ojczyzna. To też w VI rocznicę tego wiekopomnego faktu cała Polska od brzegów siwego Bałtyku aż po granity Tatr schyla czoło w hołdzie cieniom bohaterów poległych za wolność Śląska i połączenie go z Macierzą. W tym wielkim dla Śląska i Polski całej dniu 6 rocznicy plebiscytu serca wszystkich Polaków biją zgodnym rytmem, a usta nasze donośnie wołają światu: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród, tak nam dopomóż Bóg“. Niech żyje Polska! Niech żyje Górny Śląsk!

ŚLĄSK I LWÓW.

Następnie przemówił imieniem miasta Lwowa dr. Stahl, który porównywał walkę o wolność kresowego miasta Lwowa z walką o wyzwolenie Górnego Śląska. „My i wy — mówił mówca jesteśmy w tem samem położeniu. Stąd sentyment Lwowa do was, stąd ta miłość więcej niż bratnia, stąd to oświadczenie, że Śląsk na Lwów, ale i Lwów na Śląsk zawsze liczyć może. Niech żyje Śląsk!

MARSZAŁEK WOLNY.

Imieniem społeczeństwa śląskiego przemówił p. marszałek Sejmu śląskiego Wolny.

Niech mnie jako synowi ziemi śląskiej wolno będzie w tej uroczystej chwili powiedzieć kilka słów na temat co nam dzień dzisiejszy przypomina. Dzień dzisiejszy nam przypomina żeśmy wolność odzyskali, dzięki tym, których już kryje grób, dzięki Damrotom i Szafrankom. Mowę swą zakończył okrzykiem: „Prezydent Mościcki niech żyje!“

WOJEWODA DR. GRAŻYŃSKI.

Następnie wygłosił mowę wojewoda dr. Grażyński następującej treści:

Rodacy! Zeszliśmy się tutaj w 6 rocznicę plebiscytu nie poto, aby pławić się w blaskach wiosennego słońca i w tęczach różnobarwnych sztandarów ale w tym celu, by wspólnie zwrócić się z jednej strony myślą ku wielkim momentom przeszłości, z drugiej strony odczuć potęgę własną i wzmocnić w sobie wolę dalszej wzmożonej solidarnej pracy dla dobra narodu i państwa. Ni ewięcej jak 6 lat temu, ziemia ta była jeszcze terenem zaciekłej walki. Lud górnośląski, który od 600 z górą lat oderwany był od Macierzy, który od wieków całych wydany był na łup bezwzględnego ucisku i wynarodowienia, manifestował niezłomność swego ducha tak w akcie pokojowej natury, jakim był plebiscyt, jak i w orężnym czynie na polu walki. Nie rozstrzygnięcia międzynarodowe, ale trud całych pokoleń, polskich działaczy na tym terenie, oraz zbiorowy czyn nas samych wybił nam godzinę wolności, skruszył kajdany. Te ostatnie lata stanowiące zamknięcie historji męczeństwa ludu śląskiego będą zawsze przedmiotem wzruszeń całych przyszłych pokoleń, żyjących na wolności, będą stanowiły ten kapitał, który nigdy nie zniknie w ogólnym dorobku polskiej tradycji narodowej. Będzie tworzył na tej ziemi wątek złotych legend o ludzie, co szedł z własnej woli nie na rozkaz na mękę, tułaczkę i śmierć celem zdobycia wolności. Jeżeli dzisiaj, którzyśmy to wszystko przeżywali zwrócimy się do tej niedawnej jeszcze przeszłości i zapytamy się w czem tkwi nasza siła, gdzie jest klucz tej wielkiej tajemnicy, że lud żyjący wśród najcięższych warunków okazał moc, to stwierdzamy, że moc ta płynęła ze zdolności poświęcenia dla ogólnych ideałów narodowych, oraz z bezprzykładnej karności i solidarności całego społeczeństwa, tam gdzie chodziło o ogólne interesa narodowe. Z tego musimy wyprowadzić wielką naukę na przyszłość. Jeżeli dzisiaj zeszliśmy się w liczbie 150.000, to po to, aby nietylko sięgnąć myślą w przeszłość, ale i po to, aby stwierdzić olbrzymią przygniatającą siłę polskiego społeczeństwa na tym terenie, aby wzmocnić w sobie wolę czynu.

Rodacy! obchodzimy dzisiaj rocznicę wielkiego momentu, wszyscy wiemy, że tak jak w całem państwie, tak i tu leży przed obecnym pokoleniem wielkie pole pracy na dalszą rozbudową i organizacją państwa, nad sanacją gospodarczą, and rozwinięciem i pogłębieniem kultury całego społeczeństwa, wreszcie praca nad utrwaleniem polskiego stanu posiadania. Jeżeli gdzie, to tu na granicy zachodniej państwa potrzeba tej pracy i dlatego ja, wasz wojewoda, a w okresie niewoli towarzysz pracy narodowej, przemawiając do was z okazji 6 rocznicy plebiscytu wzywam, abyście tak, jak w tej chwili uroczystej karnie wszyscy obok siebie stanęli w szeregach, byśmy i w codziennej pracy tak na swych stanowiskach jak i w organizacjach wskrzeszali dawnego ducha bezwzględnego poświęcenia dla dobra Ojczyzny i państwa, abyśmy czuli się braćmi nietylko od święta, ale na codzień, abyście byli karni i solidarni.

A teraz jeszcze jedno: Praca narodowa, plebiscyt, powstania, złożyły się na naszą dzisiejszą wolność, ale nie doprowadziły do wyzwolenia całego Górnego Śląska. I dziś, kiedy cieszymy się wolnością, nie wolno nam zapominać o tych braciach, którzy hen, aż pod Opole, Koźle i Racibórz siedzą wrośli jak dęby odwieczne, nie wolno nam zapominać o braciach którzy tak jak my pracowali, tęsknili za wolnością i za nią ginęli.

A teraz kończąc swe przemówienie jeszcze raz wołam do was, zanieście z tej uroczystości do domów waszych warsztatów pracy i organizacji ducha narodowego braterstwa i wolę ofiarnej pracy dla Ojczyzny.

ROCZNICA PLEBISCYTU W BERLINIE

Berlin, 19.3 (Tel. wł.) — W dniu wczorajszym zjednoczone niemieckie związki ojczyźniane święciły demonstracyjnym pochodem rocznicę plebiscytu górnośląskiego.

Prezydent Hindenburg nadesłał pismo usprawiedliwiające swą nieobecność.

Ministra Reichswehry reprezentował generał Michaelis.

Ministerjum spraw wewnętrznych i gospodarstwa Rzeszy wysłały również swych przedstawicieli.

Wyższy radca rządowy Hoffmann w przemówieniu swem powoływał się na to, że Niemcy szanują prawa, mieszkających na terenie Rzeszy mniejszości narodowych i żalił się na rzekomy ucisk niemieckiej mniejszości na G. Śląsku.

Prałat Ulitzka wygłosił przemówienie, w którem podkreślił, że G. Śląsk wydarty przemocą Niemcom, pozostał nadal krajem niemieckim. Zadaniem Niemiec jest dążyć do tego, aby G. Śląsk do nich powrócił. Musimy utorować ku temu drogę —mówił Ulitzka — i starać się o to, aby współziomkowie na G. Śląsku zachowali miłość dla ojczyzny niemieckiej.

Wkońcu przyjęto rezolucję, domagającą się podjęcia kroków ze strony rządu niemieckiego w celu ochrony praw mniejszości niemieckiej na G. Śląsku i protestującą przeciwko rzekomemu uciskowi Niemców w Polsce

Nauczyciele a p. Dobrowolski.

Sprawozdanie nasze z jednego z posiedzeń Rady miejskiej w Sosnowcu, zatytułowane: „Oświata i dziwny obrońca nauczycieli", wywołało duże poruszenie wśród miejscowych nauczycieli, przyczem podniosły się głosy oburzenia przeciw p. Tadeuszowi Dobrowolskiemu, ławnikowi Magistratu sosnowieckiego. Choć ostro sklasyfikowaliśmy niefortunne wystąpienie p. Dobrowolskiego przeciw nauczycielom, przecież zarówno w wygrażaniach i sposobie ujęcia przedmiotu utrzymaliśmy umiar i spokój, konieczny przy rozpatrywaniu spraw poważnych.

Odpowiadając na nasze oświetlenie przemówienia ławnika, p. Dobrowolski używa w socjalistycznym „Głosie Zagłębia" stylu ulicz nikowskiego i w sposób w najwyższym stopniu niewybredny i przynoszący wstyd inteligentowi i pedagogowi-polonniście rzuca się na przeciwnika. Nie tracąc zimnej krwi i utrzymując w dalszym ciągu obowiązujący nas wobec czytelników ten przyzwoity, wyjaśnimy tę część wywodów p. Dobrowolskiego, która jest istotną dla całej sprawy.

W sprawozdaniu naszem z piątku dnia 11 marca podnieśliśmy z przemówienia p. Dobrowolskiego 2 momenty:

1) Nauczyciele nie zasłużyli sobie na poparcie władz miejskich, bo nie spełniają swych obowiązków społecznych. Nie widać ich przy robocie społecznej.

2) Nauczycielstwo wobec zarządzenia władz nie zajęło zdecydowanego stanowiska.

Przy tem ostatniem zdaniu zaznaczyliśmy, że pan Dobrowolski miał najwyraźniej na myśli **aferę piernikową**. Trzeba dodać, że 2 wyżej przytaczane zdania są dosłownie wzięte z przemówienia p. Dobrowolskiego, który w swojej zastanawiającej bezczelności, usiłuje gołosłownie wmówić w naiwnych ni mniej ni więcej tylko to, że napisaliśmy nieprawdę.

Nie konkretnie nie prostując z naszych wywodów, p. T. Dobrowolski sam streszcza tę część przemówienia, która dotyczyła subwencji na kursy nauczycielskie, w sposób następujący:

Na środowem posiedzeniu R. M. — pisze p. D. — oświadczyłem, iż stanowisko moje jest trudne, gdyż argumenty, jakiemi zwalczano mię przy obronie subsydjum na kursy, są w znacznej mierze niestety słuszne, a mianowicie: a) w naszych warunkach, wobec całkowitej obojętności na sprawy społeczne ze strony miejscowej inteligencji, jedynie nauczycielstwo, choć niedostatecznie wyposażone i przeciążone pracą zawodową, musi podjąć, trud pracy społecznej wśród dorosłych, większość nauczycielstwa miejscowego tego obowiązku moralnego nie spełnia, przez co jest obca i nieznana masom robotniczym i dla nich obojętna, c) jedyny reprezentant nauczycielstwa w Radzie miejskiej posiada pośród ideowych i politycznych przeciwników większości Rady, d) aby zjednać dla swych postulatów proletarjat winno nauczycielstwo stać się potrzebne masie przez pracę niekoniecznie polityczną, lecz społeczną i kulturalno-oświatową, e) większość nauczycielstwa, spełniając wbrew swym przekonaniom jednostronne i godzące w interesy i godność robotnika zarządzenia władz, nie umiała po męsku przeciw temu zaprotestować. Miałem tu na myśli nietylko t. zw. „aferę piernikową", lecz i okólnik min. Bartla i cały szereg innych bezsensownych zarządzeń. W przypadkowej rozmowie, ze sprawozdawcą K. Z. powiedziałem wyraźnie: „zarządzenie należy wypełnić, lecz Związek winien protestować, a nie czyni tego. Tu zaś oświadczam raz jeszcze, że zarząd główny Związku zajmuje w takich sprawach stanowisko godne obywatela, w Sosnowcu zaś obawa przed miejscowymi czy centralnymi dygnitarzami, chowających się wbrew własnemu przekonaniu pod skrzydła sanacji i komitetów Piłsudskiego, każe większości nauczycielstwa zajmować stanowisko w najlepszym wypadku bierne.

Właściwie do tego oświadczenia pana ławnika niby już nie trzeba dodawać, potwierdza ono bowiem w całej rozciągłości nasze zarzuty, mimo sztucznego stylizowania i bawełny, którą p. Dobrowolski chcę owinąć prawdę. Bo przecież żyją jeszcze ci wszyscy, którzy słyszeli, jak pan Dobrowolski gromił nauczycielstwo, za brak pracy społecznej, za to, że nie widać nauczycieli przy warsztacie pracy i t. d. A w przytoczonym autostreszczeniu słówkiem nie wspomina ani o tej pracy społecznej, ani o tym warsztacie.

Za to co do oceny przez pana przewodniczącego Rady szkolnej stosunku nauczycieli do zarządzenia władz, jesteśmy prawie zupełnie zgodni z p. Dobrowolskim, który nie tylko przyznaje, że miał pierniki na myśli, ale i okólnik min. Bartla. Jedno tylko małe sprostowanie: w druku p. Dobrowolski oskarża „większość nauczycielstwa", a na posiedzeniu Rady miejskiej mówiło się poprostu „nauczycielstwo".

Uważne przeczytanie wywodów p. Dobrowolskiego jest wogóle rzeczą bardzo użyteczną, gdyż dowodzi ono, jak daleko można zajść w chęci przypodobaniu się partji, tembardziej wtedy, gdy się jest w niej człowiekiem dość nowym i niedość jeszcze posiadającym zaufanie. Pan Dobrowolski, członek Związku legjonistów, ma do nauczycieli pretensję nawet za to, że się chowają „pod skrzydła sanacji i komitetów Piłsudskiego". Ale najgorsze w p. Dobrowolskim jest to, iż pan ten ośmiela się zarzucić nauczycielstwu (większości) działanie wbrew przekonaniu. Nikt dotąd nie posunął się tak daleko, iżby śmiał wtrącić się do przekonań p. ławnika, bo jest to sprawa jego sumienia. Zdawałoby się więc rzeczą zrozumiałą i konieczną w stosunkach między ludźmi uczciwymi, by i p. Dobrowolski nie stawał się sędzią cudzych sumień. Pan ławnik może nawet komunizować i nikt, kto rozumie wolność przekonań, do sumienia zaglądać mu nie będzie. Nic wolno też i przewodniczącemu Rady szkolnej rzucać ciężkich oskarżeń tylko dlatego, że nauczyciele nie należą do P. P. S.

W dalszym ciągu swych wyjaśnień powiada p. Dobrowolski:

4) mimo to oświadczyłem, że wierzę, iż obcięcie subsydjum godzi nie w winnych, że mniejszość nauczycielstwa i to ta najgorzej uposażona z całem poświęceniem, bezinteresownie bierze udział w pracy społecznej, że przeto pomoc młodym nauczycielom w ukończeniu studjów wzmoże w nich poczucie obywatelstwa i zniewoli do zapełnienia istniejących luk w dziedzinie pracy nad proletarjatem.

Jednem słowem, zdaniem p. Dobrowolskiego, są tacy, którzy zasługują na poparcie i tacy, którzy na to poparcie nie zasługują. Jest mniejszość nauczycielstwa, która „bezinteresownie bierze udział w pracy społecznej", musi być więc wobec tego większość, która nie chce za darmo dla socjalistów pracować, nie mając zresztą pięknego przykładu w p. Dobrowolskim, który nie za ciężką pracę nauczycielską, lecz za posiedzenia w różnych komisjach magistrackich brał duże wynagrodzenie, co nawet na posiedzeniu Rady miejskiej swego czasu zostało napiętnowane.

Tak oto „bronił" p. Dobrowolski subwencji na kursy nauczycielskie. Ale ani słowem pan ten nie wspomniał, że nauczyciele szkół powszechnych domagają się demokratycznej szkoły jednolitej i dlatego kursy są potrzebne i trzeba je subwencjonować. Świadomie szkodząc nauczycielom, p. Dobrowolski nie użył tego najsilniejszego argumentu, jakby tylko chodziło o pozory obrony nauczycieli, nie zaś o faktyczne uzyskanie subwencji.

Bo wogóle zarówno z przemówienia na posiedzeniu Rady, jak i z przytoczonych tu „wyjaśnień" wynika, że p. Dobrowolski chce siedzieć na 2 stołkach: chciałby dogodzić partji i w dalszym ciągu utrzymać pozory przyjaciela nauczycieli. I Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. Są to znane zasady karjerowiczostwa.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga, dość luźno związana ze sprawą subwencji dla nauczycieli. Po nieprzyzwoitej napaści p. Dobrowolskiego na naszego sprawozdawcę na posiedzeniu Rady miejskiej, r. Zemła powie dział pod adresem p. Tadeusza Dobrowolskiego: — „Żaden łobuz by tak nie zrobił". Na ten temat p. Dobrowolski pisze w „Głosie Zagłębia":

Nad radnym Zemłą, jako tym, który zdradził sprawę robotniczą, stając po stronie jej wrogów, przechodzę do porządku. Taki obrazić mię nie może.

Czy p. Zemła, należąc do innego stronnictwa, a nie do PPS., „zdradził" sprawę robotniczą, to kwestja poglądów politycznych i z równem powodzeniem p. Zemła może to samo powiedzieć o p. Dobrowolskim. Nowością natomiast jest fakt, że p. Dobrowolskiego nie może obrazić człowiek, należący do innego ugrupowania politycznego. Jest to wysoce swoisty sposób interpretowania kodeksu honorowego.

Kronika Zagłębia.

KALENDARZYK.

21 PONIEDZIAŁEK	Dziś Benedykta Op.
	Jutro Katarzyny W.
	Wsch. słońca 5 33
	Zach. „ 17 45

Kinoteatry w Sosnowcu.

grają dzisiaj:

Udziałowy: „Znak Zorry".

„Oaza": „Półświatek paryski".

Z życia P.M.S w Dąbrowie.

W dniu wczorajszym odbyło się w lokalu własnym w gmachu „Ogniska" w Dąbrowie ogólne doroczne zebranie członków miejscowego Koła Polskiej Macierzy Szkolnej. Po zagajeniu obrad przez prezesa Koła p. B. Jachimczyka na przewodniczącego zaproszono p. inż. A. Spadnickiego, na sekretarza p. Z. Laubitza. Sprawozdanie z działalności zarządu odczytał p. Jachimczyk. W okresie sprawozdawczym zarząd Koła, poza pracą kulturalno-oświatową, zajmował się głównie doprowadzeniem do należytego stanu biblioteki P. M. S. która z uwagi na opłakany stan, spowodowany anormalnymi stosunkami powojennymi oraz brakiem kapitału, wymagała gruntownego, uporządkowania i skompletowania.

Zadanie to wykonano i biblioteka, przeniesiona do własnej siedziby w „Ognisku" została całkowicie uporządkowana, skatalogowana i uzupełniona poważną ilością nowych książek, dzięki czemu wkrót ce będzie oddana do publicznego użytku. Ponieważ zarząd posiada około 2 tysięcy zł. na kupno nowych książek, księgozbiór P. M. S. zostanie znacznie powiększony. Dzięki zdobyciu własnego lokalu w „Ognisku" oraz coraz większemu interesowaniu się społeczeństwa pracą i zadaniami P. M. S. zarząd Koła ma nadzieję, iż w tym roku rozwinie intensywniejszą działalność kulturalno - oświatową.

Ze sprawozdania finansowego wynika, iż obrót Koła wynosił 3585 zł. pozostało na rok bieżący 1812 zł. a majątek przedstawia wartość 4524 zł. Członków Koło liczy tylko 73. Składka członkowska wynosi 3 i 6 zł. rocznie i należy się spodziewać, iż przy tak minimalnej opłacie z chwilą rozwinięcia przez zarząd widoczniejszej działalności nazewnątrz, niewątpliwie liczba członków zwiększy się pokaźnie.

Obydwa sprawozdania przyjęto, poczem przystąpiono do uzupełnienia składu zarządu, na miejsce osób wybalotowanych. Wybrani zostali pp. B. Jachimczyk, R. Morgulec i S. Wilczyński, na zastępców pp. W. Szarska, Weberowa, Piotrkowska, Winnicka i W. Muszalski. Z dawnych członków pozostali pp. ks. kanonik Mazurkiewicz, E. Łabudzińska, K. Zabierzowska, J. Szunejko, W. Kaznowski i Z. Saubitz.

Do komisji rewizyjnej weszli pp. Winnicki, Gawinek i S. Grodzicki.

Na tem posiedzenie zakończono.

Z konferencji delegatów C Z G.

Wczoraj odbyła się w Dąbrowie konferencja delegatów centralnego związku górników z Zagłębia Dąbrowskiego, Śląskiego, Krakowskiego i Cieszyńskiego, przy udziale około 250 osób. Przedmiotem obrad była sprawa zawarcia nowej umowy górniczej z Radą Zjazdu oraz wysunięte przez przemysłowców warunki płacy i pracy. Po kilkugodzinnej, bardzo ożywionej dyskusji, zebrani uchwalili jednomyślnie dwie rezolucje.

W pierwszej upoważniono zarząd C.Z.G do podjęcia wszelkich kroków aż do strajku włącznie, w sprawie utrzymania dotychczasowych warunków i zdobyczy robotników.

W drugiej zaś uchwalono zwrócić się do zarządu w sprawie zaniechania represji na tle politycznem oraz uwolnienia więźniów politycznych w Polsce i w... bolszewji.

W tym wypadku chodzi widocznie o zaszachowanie komunistów i wykazanie robotnikom obłudy i perfidji komunistów, którzy ustawicznie domagają się uwolnienia więźniów politycznych, gdy tymczasem w kraju ultra-komunistycznym, na który stale powołują się tutejsi emisarjusze, prześladowania polityczne istnieją w niebywałych rozmiarach.

Otóż PPS zgadza się na uwolnienie u nas więźniów politycznych, lecz pod warunkiem, iż uczynią to najpierw bolszewicy, wodzowie duchowi i... finansowi naszego komunizmu.

Spłoszenie włamywaczy.

Onegdaj około godz. 9 wiecz. czterej nieznani osobnicy usiłowali okraść magazyn celny, mieszczący się na dworcu kolejowym w Sosnowcu. W tym celu zaczęli wybijać otwór w murze, chcąc w ten sposób dostać się do magazynu. Spłoszeni jednakże przez jednego z kolejarzy, zbiegli, pozostawiając 2 worki i wytrychy.

Śmiertelne poparzenie.

W mieszkaniu Zawały Marjanny, zam. w Sosnowcu przy ul. Konstantynowskiej 31, podczas gdy matka zajęta była jakąś pracą, dwuletni jej syn Tadeusz zabawiał się, biegając po mieszkaniu. W pewnej chwili rozbawiony chłopczyk wpadł na stojący w kuchni żelazny piecyk, na którym znajdowała się miednica z wrzącą wodą, przyczem woda z miednicy wylała się na dziecko. Poparzone dotkliwie dziecko zmarło po czterodniowych męczarniach w ub. piątek. O wypadku matka zawiadomiła onegdaj policję

Nasz dział radjowy.

RADJOSTACJA KRAKOWSKA.

Zasięg detektorowy krakowskiej stacji nadawczej wynosi 30 klm.

Stacja krakowska nadaje obecnie tylko odczyty, koncerty popołudniowe i wieczorne transmitowane są z Warszawy. W niedalekiej jednak przyszłości radjostacja krakowska rozpocznie nadawanie koncertów własnego zespołu. Krakowski wydział techniczny przeprowadza obecnie instalacje mikrofonowe na wieży Marjackiej, na Wawelu, w sali koncertowej Starego teatru. Projektowana jest bowiem w najbliższej przyszłości transmisja hejnału, oraz głosu dzwonu Zygmunta.

PROGRAM RADJOWY

na poniedziałek 21 h. m.

WARSZAWA: Godz. 6.00—6.40 muzyka Ukka, transm. z „Gastronomji". Godz. 7.45—8.10 odczyt p. t. „Muzea amerykańskie" wygł. prof. Aleks. Janowski. Godz. 8.30 — wieczór operowy (według zapowiedzi).

KRAKÓW: Godz. 6.00—6.40 transm. z Warszawy. Godz. 7.00—7.25 odczyt p. t. „Warunkowe zasądzenie i warunkowe uwolnienie" wyg. prof. U. Jag. dr. J. Reinhold. Godz. 7.30—7.55 odczyt p. t „Czy mamy surowiec do wyrobu porcelany?" wygł. prof. Rosen od godziny 8.30 transm. st. warszawskiej.

BERLIN: Godz. 5.00—6.00 muzyka popołudn. Godz. 8.30 wieczór Beethovena ze współudz. solistów.

WROCŁAW: Godz. 4.30—6.00 koncert popularny. Godz. 9.00 koncert na dwoje skrzypiec, w programie: Mendelsohn—Spohr—Lalo.

FRANKFURT: Godz. 4.30—5.45 wyjątki z nowych operetek w wykonaniu orkiestry.

LIPSK: Godz. 7.30 wiecz. transm. opery p. t. „Zamarłe oczy" E. d'Alberta.

MONACHJUM: Godz. 7.30 koncert symfoniczny (w programie dziewiąta symfonja Beethovena).

STUTTGART: Godz. 8.00 koncert symfoniczny.

RZYM: Godz. 5.30—6.30 transm. koncertu z filharmonji. Godz. 9.00 koncert ze wsp. solistów.

PRAGA: Godz. 8.00 wiecz. koncert skrzypka wirtuoza Sergio Pasini.

BUDAPESZT: Godz. 8.15 koncert wieczorny orkiestry operowej, w programie: Mozart, Rossini, R[illegible]kij-Korsakow.

Z ruchu wydawniczego.

GENERAŁ MARJUSZ ZARUSKI: „NA POKŁADZIE „WITEZIA".

Nakładem Yacht-Klubu Polski ukazała się i jest do nabycia we wszystkich księgarniach, pod powyższym tytułem, trzecia podróż żaglowego yachtu „Witeź" w 1926 roku do Szwecji.

Opis podróży skreślony barwnie, zajmująco i żywo, dobrą i piękną polszczyzną przez gen. Marjusza Zaruskiego, komandora Yacht-Klubu Polski, znanego żeglarza, rozkochanego w morzu i we wszystkiem, co się łączy z morzem, stanowi zajmującą lekturę nietylko dla wielbicieli tego żywiołu i tych, którzy rozumieją znaczenie zagadnień morskich dla Polski, nietylko dla tych, którzy interesują się sportem wodnym, lecz także ze względu na lekką i dowcipną formę opowiadania, przy ciągnie uwagę szerszego koła czytających, którzy mogą znaleźć w niem ten ożywczy powiew, idący z nad morskich fal, tę przestrzeń nieogarnioną wzrokiem i tę ciężką codzienną walkę człowieka z żywiołem i potęgą głębin wodnych, wichrów i burz.

Krótkie, lecz jędrne charakterystyki członków załogi „Witezia", tych pionierów morskiego sportu żeglarskiego w Polsce, wesołe opisy ciężkich walk z trudnościami i przeszkodami, ten podświadomie radosny ton, przenikający każdego człowieka morza, w chwili gdy poczuje zdala choćby zapach słonej wody, czyni z książki gen. M. Zaruskiego coś więcej, niż zwykłe opowiadanie żeglarskie, daje jej bowiem pewien podkład społeczno-wychowawczy, wskazując na przykładach, jakie przewroty dokonać jest zdolne morze w psychice przeciętnego inteligenta, zwykłego szczura lądowego, zamkniętego przez okrągły rok w jakimś biurze, z chwilą zetknięcia się z tem morzem, które od tak niedawna zdołaliśmy odzyskać.

To też całkowicie należy uznać za słuszną i godną pochwały decyzję Yacht-Klubu Polski wydania tej książki oraz motywy, podane w przedmowie, że w ten sposób zostaje przyłożona „cegiełka do budowy gmachu wychowania społecznego, pojętego w sposób najbardziej ogólny, jako przekształcenie psychiki narodu, nadanie jej tężyzny o szerokim, światowego znaczenia rozmachu".

Ta tężyzna bije z kart książki i tę tężyznę chłonie w siebie czytelnik.

PLACÓWKA.

Z okazji 9-tej rocznicy ukończenia przez korpus Dowbora walk z bolszewikami pod Bobrujskiem, wydział prasowy Stowarzyszenia dowborczyków wydał specjalny numer znanego wydawnictwa „Placówka" pod redakcją Stanisława Piaseckiego.

Numer wydany w wytwornej szacie graficznej, z licznemi ilustracjami, prezentuje się okazale. Na treść numeru składają się artykuły: „W dziesiątym roku" Józefa Dowbor-Muśnickiego, „Dusza żołnierza polskiego" Antoniego Sadzewicza, „Spirytus sanctus" Ignacego Oksza-Grabowskiego, „Kult mogił naszych bohaterów" ks. dr. Tadeusza Jachimowskiego, „Przejście za Dniepr" Józefa Dowbor-Muśnickiego, „Młodzież szkolna a korpus Dowbora". Juljana Podoskiego, „Strzępy togi Melchjora Wańkowicza" Stanisława Piaseckiego.

W dziale wojskowym znajdujemy artykuł gen. E. de Henning Michaelisa p. t. „Wymowa cyfr" i rozprawę gen. J. Burhardta p. t. „Konieczność fortyfikacji granic Polski".

Dział literacki otwiera wiersz Or-Ota „Do Dowborczyków". Józef Weyssenhoff dał świetny szkic „W pierwszym korpusie". Tadeusz Jachimowski wiersz „Nad Zbruczem" a Wacław Filichowski nowelę „Wenda".

Całości numeru dopełniają „Materjały do historji I-go korpusu", „Z żałobnej karty" i „Z życia Dowborczyków".

Cena zeszytu, który jest wszędzie do nabycia, 2 zł. Adres redakcji i administracji: Warszawa, Nowy Świat 40, tel. 319-87, konto czekowe w P. K. O. Nr. 12.571.

Wieści z Rosji.

FELIKS KON JAKO WRÓŻBITA SOWIECKI.

Komunista polski Feliks Kon przybył do Bałty, gdzie wziął udział w zgromadzeniu emigrantów z Besarabji. Kon wygłosił na tem zgromadzeniu mowę, w której zwrócił się gwałtownie przeciwko Rumunji. Po mowie Kona zgromadzenie powzięło uchwałę protestacyjną przeciwko ratyfikacji protokułu besarabskiego przez Włochy. Analogiczne zebrania i zgromadzenia protestacyjne odbyły się w innych miejscowościach republiki Mołdawskiej i Ukrainy sowieckiej. Nad granicą rumuńską, na brzegu Dniestra, organizacje komunistyczne urządziły po stronie sowieckiej kilka zgromadzeń protestacyjnych pod otwartym niebem. W jednym wypadku rumuńska straż graniczna zagroziła, że będzie strzelała do takiego zgromadzenia, wobec czego je rozwiązano.

Przedterminowe uwalnianie skazanych.

Kara, jako narzędzie państwa do walki z przestępstwem jest wynalazkiem bardzo dawnym. Uważana w starożytności i średniowieczu jako środek odwetu w epoce rewolucji francuskiej, t. j. w końcu XVIII wieku kara zaczyna być pojmowana jako **narzędzie poprawy przestępcy.**

Rozpoczyna się wtedy okres t. zw. humanitaryzmu w prawie karnem, jako cel kary wysuwa się poprawę przestępcy, dając mu przez to możność powrotu do uczciwego życia. Tej tezie ratowania człowieka, który ujawnia w więzieniu skruchę i rokuje poprawę, dała w praktyce kryminalnej wyraz obok zawieszenia kary instytucja **t. zw. przedterminowe uwalniania skazanych,** po raz pierwszy stosowana w Anglji.

Sprawca przestępstwa bywa mianowicie uwalniany przed terminem, kończącym karę na skutek dobrej opinji władz więziennych, oczywiście warunkowo. A więc, jeśli w ciągu czasokresu nieodcierpianej kary uwolniony popełni nowe przestępstwo, ścigany będzie nietylko za nie, lecz będzie musiał odsiedzieć i darowaną karę.

Przy tym systemie **konieczna jest ścisła obserwacja przestępcy** zarówno przez władze więzienne w okresie odbywania przezeń kary, jak i przez organizacje społeczne tak zw. patronaty po opuszczeniu przezeń murów więziennych. W patronatach znakomicie rozwiniętych również w Anglji tkwi właściwie główny punkt ciężkości, gdyż zadaniem ich jest czuwać nad uwolnionym przez dostarczenie mu pracy, opieki, rozrywki, aby go ustrzec od powrotu na drogę występku.

Instytucja przedterminowego uwalniania skazanych znana jest naszemu prawodawstwu odziedziczonemu w byłych dzielnicach pruskiej i austrjackiej, w Kongresówce natomiast prowadziły dopiero w zaraniu naszej państwowości polskie „przepisy przechodnie" do Kodeksu karnego z 1927 roku. Przepisy te pwierzały decyzję co do przedterminowego uwolnienia właściwemu Sądowi okręgowemu po ustaleniu opinji zarządu więzienia.

Ogłoszone niedawno rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 19 stycznia 1927 r. (Dz. U. R. P. nr. 5 poz. 25) o zwolnieniu przedterminowem osób odbywających karę pozbawienia wolności w zestawieniu z „przepisami przechodniemi" 1917 r. zasadniczo nowego nic nie wprowadza, zezwalając również na stosowanie dobrodziejstwa uwolnienia do wszystkich kategoryj przestępców. Istotna różnica zachodząca między powołanemi przepisami a treścią cytowanego rozporządzenia dotyczy organu decydującego o przedterminowem przywracaniu skazanym wolności. Gdy bowiem przepisy z r. 1917 funkcję tę powierzyły sądom, to natomiast rozporządzenie powierza prawo decyzji o przedterminowem uwalnianiu, wzorując się na prawie francuskiem, ministrowi sprawiedliwości, który może je przekazać prokuratorom.

Niezmiernie cennym dla podkreślenia ducha humanitaryzmu naszego prawa jest wydane już do nowej ustawy rozporządzenie wykonawcze, które między innemi rozstrzyga ciekawy wypadek, gdy skazany dobrze sprawujący się, nie wnosi podania o przedterminowe uwolnienie. Wydawaćby się mogło, że darowanie części kary w tym wypadku nie powinno nastąpić. A jednak rozporządzenie wykonawcze, kierując się głęboko pojętym humanitaryzmem zezwala i w tym wypadku, czyli prośby skazanego, na przedterminowe zwolnienie.

A. S. P.

Widzenie muzyki w kształcie obrazów.

FENOMENALNA MALARKA, KTÓREJ OBRAZOWE ODCZUCIE MUZYKI NIE JEST ODOSOBNIONE.

W mózgu posiadamy zakątek, w którym wszystkie tony przemieniają się na wrażenia wzrokowe. Na dowód tego twierdzenia Wiljam Jamesa, pisma angielskie przytaczają mis Colman Smith, utalentowaną malarkę, która nie tylko „widzi" muzykę, której słucha, lecz ponadto

maluje to, co słysząc widzi.

Miss Smith nie gra na żadnym instrumencie lubi i odczuwa jednak muzykę tak żywo, że tony jej przybierają dla niej realne kształty. Wypadki „widzenia" muzyki nie są zbyt rzadkie, rzadko jednak widzący muzykę umieją przenieść plastycznie swe wrażenia na papier w formie obrazu.

Było to w dzień Bożego Narodzenia w r. 1900 — pisze o tem pani Forbes Sempill w „Illustrated London News" — gdy miss Smith po raz pierwszy namalowała swe wrażenia muzyczne. Ktoś grał na fortepianie utwory Bacha, gdy nagle miss Smith, jak sama opowiada,

spostrzegła w powietrzu jak gdyby ramy,

w których otworze pojawił się obraz. Obraz ten przedstawiał pagórkowaty krajobraz, pełen drzew o ciemnych liściach. Pod drzewa o wysokich pniach wpadła nagle tańcząc gromadka rusałek w powiewnych sukniach o rozpuszczonych włosach. Obraz był nadzwyczaj wyraźny. Naszkicowałam ołówkiem, co widziałam, na marginesie jakiegoś czasopisma. Gdy skończyłam rysunek, obraz zniknął z oczu.

W dwa lata później miss Smith uczęszczała pilnie na koncerty i wówczas znów miała „widzenie" muzyki. W czasie koncertów w Queen Hall

usiłowała szkicować swe widzenia

szmer jednak ołówka przeszkadzał słuchaczom, więc zaczęła używać pędzla. Owocem jednego koncertu było nieraz dwadzieścia do trzydziestu szkiców. Zazwyczaj zjawiają się jej obrazy barwne, gdy jednak utwór muzyczny jest zbyt krótki, nie mogąc obrazu „skopjować" w barwach, szkicuje go sepją, by później wykonać ze szkicu w barwach. Miss Smith

rysuje muzykę prawie automatycznie.

Gdy usiłuje rysować świadomie, wówczas obraz znika z oczu. Rysunki też, acz szkicowane wprost błyskawicznie, są skończenie artystyczne.

Obrazy wywołane utworami Bacha, Beethovena, Cezara Francka i Dubussy'ego są o wiele lepsze, aniżeli obrazy wywołane utworami, Chopina Mendelssohna czy Brahmsa. Miss Smith nie znosi jednego tylko muzyka, a jest nim Ryszard Wagner. Przy jego muzyce nie może rysować, widzi bowiem tylko jakieś powyginane

niskie sosny wyrastające jakgdyby z mgły.

Wagner działa pozatem jej na nerwy, tak, iż czuje wówczas nieznośny ból głowy.

Najpiękniejsze obrazy miss Smith powstały dzięki utworom Debussy'ego. Gdy po raz pierwszy słyszała Beethovena, ujrzała rozległe, bezbarwne pole, o wypalonej przez skwar roślinności, przez które wiła się mała rzeczułka. W kilka miesięcy potem miss Smith znów

ujrzała te same rozłogi,

ale o barwie brunatno-zielonej. Nagle zahuczały bębny i zabrzmiały fanfary i wysunęła się armja, krocząca z rozwianemi sztandarami. Najeżone lancami szeregi kroczyły przez pole, na niebo zaś wypełzły białe obłoki, zaróżowione od słońca.

Obrazy miss Smith, tworzone pod wpływem muzyki, cieszą się, nawiasem mówiąc, wielką wziętością i pokupem

Francja i jej kolonje.

Francja bez kolonji liczyłaby 40 miljonów ludności, byłaby mocarstwem drugorzędnem. Francja z kolonjami liczy zgórą 100 miljonów ludności i, dzięki swym posiadłościom zamorskim, jest w stanie udźwignąć ciężar swej polityki światowej oraz wyrównać w znacznym stopniu szczerby poczynione przez wojnę w jej gospodarce.

Kolonje francuskie, łącznie z Afryką północną, dają w ogólnym obrocie handlowym sumę blisko 30 miljonów franków rocznie, w tem zaś około 15 miljonów fr. wynosi wyłącznie pozycja wymiany handlowej z metropolją. Kolonje, zwłaszcza afrykańskie, są dla Francji niewyczerpanem źródłem surowców wszelkiego rodzaju, produktów rolnych, żywności.

Przyszłość kolonji francuskich zapowiada się świetnie. Z wyjątkiem tylko może najstarszej z nich Algieru — a i to częściowo, znajdują się one w pierwszej fazie swego rozwoju. To, co dają metropolji obecnie może być tylko uważane jako piękny i obiecujący zadatek na przyszłość.

Olbrzymie terytorja Marokka, Tunisu, południowego Algieru, Sudanu, Senegalu czekają jeszcze na rozwój sieci kolejowej, spławnej, dróg automobilowych, na posiew pracy i kapitału; wtedy dopiero można będzie zmierzyć i ocenić, jak twierdzi znakomity znawca kolonji, A. Sarraut, wszystkie możliwości rozwojowe tych przebogatych krajów. Afryka zachodnia, Madagaskar, Indochiny dopełniają całości olbrzymiego imperjum kolonialnego Francji, którego jedynym może słabym punktem jest Afryka Ekwatorjalna, bardzo słabo zaludniona, o niezdrowym klimacie podzwrotnikowym, z zaczątkowo tylko rozwiniętą siecią komunikacyjną.

Pod względem politycznym, dzięki umiejętnej i naogół taktownej administracji francuskiej, kolonje nie przysparzają kłopotu metropolji i są, zwłaszcza już północno-afrykańskie, lojalnymi kontrahentami Francji. Pozostawiając krajowcom zupełną swobodę w dziedzinie wierzeń i obyczajów, nie krępując ich zbytnio europejskiemi normami gospodarczo-administracyjnemi, osiągnęła Francja wielkie sukcesy na polu kolonizacji bez wywoływania tarć i zaburzeń wewnętrznych.

Wzmacniając pozycję gospodarczą, polityczną, militarną Francji przyczyniły się jej kolonje do wydatnego ustabilizowania sytuacji światowej metropolji po wojnie.

Radjoaparat w roli stróża.

Do licznych korzyści, wyświadczonych ludzkości przez radjo, przybywa jeszcze jeden: radjoaparat może, jak podają dzienniki amerykańskie, skutecznie ochraniać nasze mienie. Przy jego zastosowaniu, można będzie tak zabezpieczyć kasę lub sklepioną piwnicę, że dostęp do nich będzie niemożliwy bez wywołania akustycznego i świetlnego alarmu. Przyrząd tak łatwo ukryć, że niczem nie zdradza on swojej obecności i nie może być zauważony przez nocnego, nieproszonego gościa bez względu na środki ostrożności przez tegoż przedsięwzięte. Podobno wielu kasiarzy miało w Ameryce już sposobność wypróbować na własnej skórze skuteczność tego nowego wynalazku. Radjosygnał „widzi w ciemności"; jest znacznie pewniejszy, niż skomplikowany labirynt drutów, używanych teraz przy zwykłym elektrycznym systemie sygnalizacji alarmowej. Aparat przekazuje swe ostrzeżenia dozorcom, stróżom nocnym i policji, dając im możność niepostrzeżenie zbliżyć się do rabusia, który dopiero w ostatniej chwili, gdy ucieka już jest zapóźno, spostrzega grożące niebezpieczeństwo. Wszystkim radjoamatorom znane jest zjawisko „działania pojemności ręki" i wogóle ciała ludzkiego przy strojeniu radjoaparatu. Zjawisko to jest tu właśnie zastosowane dla wykrycia obecności ludzkiej w bliskości ochranianego przedmiotu. Prasa amerykańska nie podaje jednak szczegółów takiej instalacji. Rzecz oczywista, że żadne środki zaradcze w postaci rękawiczek i t. p. nie mogą tu pomóc, a przerwanie drutów wywoła natychmiast działanie instalacji alarmowej. „Radjo-stróż" pilnuje polecone jego pieczy mienie niezawodnie i daje znać niezwłocznie, komu potrzeba, o zbliżaniu się człowieka do ochranianego przezeń przedmiotu.

Rzeczy ciekawe.

JUBILEUSZ BUŁGARSKI.

W roku przyszłym Bułgarja uczci uroczyście pamięć cara Simeona który zmarł przed tysiącem lat. Uroczystości te miały się pierwotnie odbyć już w roku bieżącym. Ponieważ jednak na rok 1928 przypada 50-letnia rocznica wyzwolenia Bułgarji z pod panowania tureckiego przeto postanowiono obchód jubileuszowy cara Simeona połączyć z uroczystością obchodu 50-letniej rocznicy niepodległości państwa.

Państwo Simeona sięgało aż do morza Adrjatyckiego, tak że rządom bułgarskim podlegały podówczas liczne plemiona słowiańskie zachodniej części półwyspu Bałkańskiego. Nie ulega wątpliwości, że okoliczność ta będzie jednym z głównych tematów przemówień okolicznościowych. Od sposobu, w jaki Bułgarzy rozstrzygną tę, bądź co bądź, dość drażliwą kwestję, zależeć będzie w wysokim stopniu efekt polityczny jubileuszu w państwach sąsiednich, przedewszystkiem w Jugosławji. Bułgarja będize miała w roku przyszłym okazję ujawnienia swego creda poli-

CZŁOWIEK-PTAK.

Wedle doniesień, nadchodzących z Wiednia, 8 bm. mechanik tamtejszy, Karol Czerny, przedstawił wynaleziony przez siebie nowy typ samolotu. Samolot ten jest naśladownictwem ptaka z ruchomemi skrzydłami w połączeniu z motocyklem. Przy zamkniętych skrzydłach wygląda, jak zwykły motocykl, a przy rozpięciu skrzydeł, które posiadają rozpiętość 7 metrów — jak wielki ptak. Start następuje po krzywiźnie 45 stop., tak, że bardzo mało miejsca potrzebuje na wybieg i może wznosić się w powietrze z niewielkiej przestrzeni. Obsługa maszyny jest tak łatwą, iż może nią kierować każdy matocyklista. Przeprowadzone próby z modelem wykazały świetne rezultaty i aparat utrzymywał się z taką samą pewnością w powietrzu, jak zwykły samolot. Pierwszy samolot-motocykl dla celów praktycznych znajduje się w budowie.

PRZECIWKO DRAPACZOM NIEBA.

W New Yorku ukazało się poniższe studjum krytyczne o drapaczach nieba, bogate ilustrowane, pióra F. A. Delano. Autor nie wypowiada w niem swego zdania ani za, ani przeciw drapaczom. Kładzie on duży nacisk na wynik katastrofalny dla sprawy pod względem finansowym, wypływającym ze wznoszenia tak wysokich budynków po obu stronach ulic o normalnej szerokości. Ruch uliczny przez to tak się wzmaga, iż miasto musi przebijać nowe przejścia, rozszerzać ulice, stwarzać koleje i stacje podziemne. W chwili zamknięcia biur. urzędnicy, pracujący w jednym z takich gmachów, w liczbie 10.000, w ciągu trzech kwadransów zajmują pobliską stację kolei podziemnej. Autor proponuje w każdej dzielnicy ograniczać ilość pięter w domach. Zwraca również uwagę Amerykanów na fakt, iż w Europie nie chcą budować drapaczy nieba, choć ludność jest naogół gęstsza, niż w Ameryce.

TURBINA DLA AWIACJI I SAMOCHODÓW.

Z New Jorku donoszą, że Henryk Ford pertraktuje z wynalazcą inż. Kopczewskim o nabycie jego turbiny dla awiacji i samochodów. Inż. Kopczewski interpelowany w tej sprawie potwierdza wiadomość. Doniosłość jego wynalazku została skonstatowana przez prof. amerykańskiego uniwersytetu w Kolumbji F. O. Wilhoffta, prof. rosyjskiego Samusa, prof. i ministra francuskiego Painleve, oraz wielu innych. Inż. Kopczewski wynalazek swój zaofiarował bezinteresownie naszej wojskowości jedynie za wybudowanie swoim kosztem modelu. Pomimo przychylnej opinji trzech komisyj od r. 1925 sprawa nie postąpiła ani krok naprzód, przeto zwrócił się inż. Kopczewski do Forda. Turbina inż. Kopczewskiego jest nader prosta i tania w konstrukcji. Napęd jest nie kosztowny. Paliwa używa się do niej płynne, a obsługa minimalna. Przypuszczalnie za Oceanem szybko się zorjentują w doniosłości tego wynalazku i takim sposobem jeszcze jeden polski pomysł powędruje do Ameryki, zamiast być obróconym na naszą korzyść.

MUZEUM POJAZDÓW

Konserwator pałacu historycznego Fontainebleau, Georges d'Esparbes, utworzył w obrębie tego pałacu muzeum pojazdów. Od lat 15-tu p. d'Esparbes zbierał pieczołowicie wszystkie okazy francuskiej sztuki powoźniczej i zdołał w ten sposób utworzyć kolekcję bardzo ciekawą. Nowe muzeum posiada, między innemi, półgalowy powóz hr. Chamborda, powóz ambasadora rosyjskiego w Paryżu, hr. Trubeckiego, powóz pewnego pułkownika francuskiego, któremu ten pojazd towarzyszył zawsze w kampanjach napoleńskich od 1812 do 1825 r. Istnieje tam także łódka, którą Napoleon III kazał wybudoweć dla swego syna.

NOWA TECHNIKA MALARSKA.

Młody artysta angielski, Spay Atkinson, nie może zadość uczynić zamówieniom, otrzymywanym zewsząd — ostatnią jego klijentką jest królowa Marja. Atkinson, nie bacząc na swoją głuchotę i, co ważniejsza, na częściowy paraliż, jest malarzem obrazów historycznych, wykonywanych nie farbami, lecz przy pomocy różnobarwnych skrzydeł motylich, odpowiednio przykrawanych i nalepianych na specjalnie spreparowane płótno. Technika ta, dająca podobno bardzo oryginalne efekty, jest nader kosztowna, na portret bowiem Katarzyny Aragońskiej zużył Atkinson przeszło 2.000 skrzydeł motylich.

CENY PRENUMERATY:
Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu lub z przesyłką pocztową
3 Zł. 50 gr.
Prenumerata zagraniczna miesięcznie 5 Zł.
Cena egzemplarza 20 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem (Pierwsza strona) za wiersz mm. 1-łamowy układ 4-szpaltowy 50 gr.
W tekście . . . . 35 .
Za tekstem . . . . 15 .
Nekrologi w tekście, za wiersz mm. 1-łam. układ 4-szpaltowy (do 50 wierszy) 15 gr.
(do 80 .) 25 .
(do 100 .) 30 .
(ponad 100 w.) 35 .

Drobne ogłoszenia do 20 wyrazów 10 gr. za wyraz, powyżej 20 wyrazów 15 gr. za wyraz. Najmniej 1 zł. Matrymonialne 15 gr. za wyraz.
Ogłoszenia ozdobne i tłustym drukiem podwójnie.
Zagraniczne 100 proc. droższe.
W numerach niedzielnych i świątecznych ceny o 25 proc. droższe.
Za terminowy druk, oraz za przestrzeganie miejsca ogłoszeń, administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka obowiązuje już wszystkie przyjęte ogłoszenia do zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Sosnowiec: REDAKCJA: Piłsudskiego Nr. 4. Telef. Nr. 64. ADMINISTRACJA: Dęblińska Nr. 1. Telef. Nr. 73.
Katowice: REDAKCJA i ADMINISTRACJA ul. Gliwicka Nr. 3. (Telefon Nr. 23-04.)

Filje i agentury własne: Będzin, Małachowskiego 7. — Dąbrowa, Sobieskiego 8, telef. 1-25. — Zawiercie, 3-go Maja 27. — Grodziec, Będzińska.

Redaktor: TADEUSZ OPIOŁA. Druk. „Kurjera Zachodniego" w Sosnowcu, Dęblińska 1. Wydaw. Sp. Akc. „KURJER ZACHODNI".

się. Ziarna z jego plantacyj najdrożej płacono w Santos. W chwili, kiedy nadprodukcja spowodowała znaczną zniżkę cen kawy i szereg bankructw, ojciec posiadał ogromne ilości nagromadzone w Rio-Pardo. Nie został wprawdzie zrujnowany tak, jak inni, ale nie chciał już rozpoczynać nanowo handlu, który okazał się niebezpiecznym. Powrócił do Francji, i kupił tu tę posiadłość, którą nazwał „Liserb", to jest Bresil, na pamiątkę kraju w którym najpiękniejsze lata życia swego przepędził. Tu kończy się historja ojca mojego, który wróciwszy do Saint-Paul, aby sprzedać dom lub wydzierżawić plantacje swoje, umarł tam w niespełna sześć miesięcy po ulokowaniu żony i syna w Liserb.

Mój ojciec, powinienem był już o tem wcześniej powiedzieć, gdybym był jakiś porządek w opowiadaniu tem zachował, mój ojciec więc, ożenił się porwawszy, jak mi się zdaje, swą przyszłą żonę z rodziny, która nie chciała się zgodzić na wydanie córki za despotycznego i jak mówiono, brutalnego obcokrajowca. A córka ta, bardzo młoda dziewczyna, bardzo ładna, wesoła, była moją matką...

Matka moja robiła zawsze na mnie wrażenie cudownego, delikatnego ptaszka, nieuchwytnego w kolorze, szczebiotliwego, który rozprasza się i ulatnia za lada silniejszym podmuchem. Czy ojciec mój był szczęśliwy? Jak panu mówiłem, był bardzo zazdrosny. Czy matka była szczęśliwa? Domyślam się, że musiała nudzić się bardzo w tych dzikich plantacjach w Rio-Pardo albo Santa-Barbara. Daleko to było od tego zgiełkliwego Santos, w którem tyle przyjemności i rozkoszy oczekiwało na młode dziewczęta. Pomimo jednak nalegań matki, rzadko na takie podróże pozwalał, zawsze pochmurny mój ojciec. Może miał jakie przyczyny ku temu.

Zrozumie pan, że w takich warunkach było to wielką radością dla młodej kobiety, poznać Francję, z jej wyrafinowaniem, które przeczuwała, z jej rozrywkami o których marzyła. I to miało już trwać życie całe, gdyż nie myślała już o powrocie do Brazylji, nawet po ukończeniu żałoby. Nie mam żadnych wspomnień z tego okresu, nie wiem nawet czy żałoba jaką boleść wywołała.

nie spędził wcale poza Francją. Pomimo brązowej cery, czarnych bardzo włosów i oczu, podłużnej twarzy, nie robił właściwie wrażenia Amerykanina z południa, możnaby raczej przypuszczać, że był to zmężniały Francuz z południa, którego zahartowały podróże i praca na świeżem powietrzu. Francuz nie zdradzający ruchów gwałtownych i roztargnienia w sposobie mówienia. Obcokrajowca, a może raczej nie rodowitego Francuza, zdradzał pewien wysiłek, z jakim usiłował uchwycić najdoskonalszą formę rytmicznego, poprawnego wyrażania się. Ten brak swobody, ta ustawiczna kontrola słów, naturalna zresztą w rozmowie z nieznajomym, nie ułatwiała mi jednak poznania go. Daremnie usiłowałem wyczytać cokolwiek w tych tak szczerych, a władczych oczach, w których pan Valbert Monestier byłby już tysiąc rzeczy wyczytał, nieomal całą historję życia jego. Czułem, że ten człowiek czynu, pozwoli odgadnąć siebie wtedy tylko, kiedy sam zechce. W międzyczasie nie zapominał nawet o interesach swoich. Dwukrotnie prosił mnie o pozwolenie pójścia do telefonu, gdyż chciał zasięgnąć wiadomości giełdowych. Kurs walut wahał się. Olbrzymie dochody jego z importu kawy obniżyła ogromnie gwałtowna zwyżka kursu franka. Niemożliwe aby wypadek ten rujnujący jego spekulację ostatnich tygodni, nie interesował go wcale, a jednak robił wrażenie człowieka, którego to całkiem nie wzruszało. Owszem, w nienaganny sposób wyrażał się o podniesieniu się naszej waluty.

Do zwierzeń jednak nie dochodziło. Odgadywałem, że waha się, że odczuwa coś w rodzaju bolesnej skromności i szuka jakiegoś protestu, którego narazie nie było, a który znalazł się ostatecznie.

W chwili, kiedy nam likiery podawano, dźwięczny śmiech rozległ się po sali. Biały wianek dziewcząt rozsypał się. Dwie piętnasto-szesnastoletnie obok nas przeszły. Jedna z nich miała krótko obcięte włosy, drugiej ciemne piękne sploty spływały po kształtnych ramionach.

— Pan na to dziecko patrzy? — zapytał Jakób.

— Tak...

Nigdy mi matka o zmarłym nie opowiadała, nigdy mi go za przykład nie dawała, przeciwnie. W chwilach, kiedy nieokiełzany mój charakter, z błahych przyczyn w wściekłość przechodził, widziałem jak matka przypatrywała mi się z ciekawością i jak mi się zdawało z pewną przyjemnością odkrywała te właściwości mego charakteru: „Będzie gwałtowny, jak ojciec... O! jesteś jego synem, pomimo tego co dowodził, o tak! Jesteś jego synem!“ I kiedy przypominam sobie w jaki sposób wymawiała te słowa, domyślam się, że że musiały tam być jakieś intymne kwestje dotyczące mego urodzenia. Tragiczne podejrzenia, męczące niedowierzania... Nie powinienem może mówić panu tego wszystkiego co mówię, ale w tym stanie duszy w jakim się teraz znajduję, nie zważam na nic., jestem człowiekiem bez kultu, bez domowego ogniska...

Wychawywałem się sam, wśród służby w tym parku, w którym tylko przez krótki czas rozlegał się wesoły szczebiot mojej za młodej, za dziecinnej matki. Niedługo, lotem niepewnym, wyleciał ptaszek poza granice naszej nicejskiej posiadłości. Wyleciał do wesołych miejscowości Riviery, dokąd mnie nie brano, do Paryża, Sycylji, Grecji i Konstantynopola, wszędzie tam, gdzie przenosili się przyjaciele i znajomi przygodnie spotkani.

Powiedziałem, że byłem sam. To nie jest dokładne. Miałem towarzyszkę zabaw i kłótni dziecięcych, może bardziej pozbawioną rodziny jak ja. Nazywała się...

Regina?

Regina Romani.

* * *

Imię Regina, dała jej matka Francuska. Romani, jest nazwiskiem ojca, Włocha. Nie jest to jednak zupełnie pewne. Przypuszczam raczej, że jest to jakieś nazwisko przybrane. Nie ulega jednak wątpliwości, że tam coś romańskiego było w tej rodzinie. Ojciec jej, był bardzo pięknym człowiekiem, nie wiadomo skąd przybył, zamieszkiwał na krótko we Francji, żył tu w bardzo skromnych warunkach, i wyjechał zdobywać majątek w Brazylji. W jaki sposób potrafił tam w ciągu kilku miesięcy poz-

1912 roku, lato było upalne. Chcąc uciec raz przed upałem i starą zachmurzoną Pierlin skryliśmy się w sztucznych, okrytych różami grotach, które pan zwiedzał wówczas. Rozciągnąwszy się obok mnie na matach i poduszkach z twardej prasowanej słomy, Regina czytała, a ja paliłem papierosa, owiany jej zapachem Żyliśmy jeszcze w zupełnej nieświadomości nas samych, pomimo, że zakład, pensja, książki, a szczególniej ów wieczór w Neapolu, mógł nas wielu rzeczy nauczyć. Ale od dziecka żyliśmy jak brat z siostrą ze sobą, i żadne z nas nie zdawało sobie sprawy z przeistoczenia, jakie wiek w nas wywołał. A kiedy czasem jakieś myśli o miłości powstawały w naszych głowach, to wówczas z pewnością Regina nie myślała o mnie, a ja o niej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego czy Regina ladną była, nawet nigdy nie zadałem sobie pytania tego.

— Czy jest pan pewny tego?

— Niestety! Dziś już nawet sprawy sobie z tego nie zdaję... Czy w tych zawsze rozburzonych włosach przypominających głowy dzikich kobiet, których podobizny ozdabiały moją historję naturalną, było co pięknego? Szczupłe ręce, szyja i ramiona opalone, pokryte brązowemi plamkami, nie miały dla mnie wówczas żadnego powabu. Zapewne, oczy miały jekieś głębokie światło, usta miały przepyszny kolor, rano zwłaszcza, kiedy Regina zjawiała się w parku, gdzie zwykle oczekiwałem na nią. Ale bałem się tych ust i tych oczu. Wiedziałem, wiele ten wzrok silnej woli, sarkazmu, wyzwania zawierał. Była to broń zaczepna, która od dziecka raniła mnie wyższością swoją. A usta? Z tych ust słyszałem tyle słów gorzkich, tyle impertynencyj włoskich, że zapomniałem, że usta te podobne były do tamtych, które widziałem całowane w małej uliczce Neapolu. Ten brak uświadomienia, kiedy myślę dziś o tem, jest dla mnie przedmiotem podziwu i zdumienia. Słyszeliśmy przecież oboje to zdanie mrukliwe, wypowiedziane przez opiekunkę naszą: „Źle pani robi, pozostawiając tego chłopca i dziewczynę, żeby się razem nudzili, chyba, że chce pani zrobić z nich męża i żonę". Męża i żonę! Wybuch śmiechu Reginy połączył się z moim śmiechem w chwili,

nać, i zdobyć młodą dziewczynę, Francuzkę, bogatą, pobożną i wykształconą? Nikt nie opowiadał mi nigdy szczegółów. Regina urodziła się w Santos. Moja matka żyła w wielkiej przyjaźni z panią Romani, która powierzyła jej opiece swą córkę, umierając prawie równocześnie z mężem na żółtą febrę, która wówczas epidemicznie i śmiertelnie panowała w jej okolicy. Regina miała lat siedem wówczas, kiedy ją nam przywieziono do Liserb. Była odemnie młodszą zaledwie o dziesięć miesięcy, i matka moja zadecydowała, że siostrą moją będzie.

— Bądź dobrym dla Reginy, rzekła do mnie i nie obchodź się z nią nigdy z brutalnością mężczyzny. Myślę jednak, że w życiu będzie silniejszą odemnie.

I było to prawdą. Co uderzało mnie przedewszystkiem w tem dziecku, które wprowadzono w życie moje, to ten jakiś instynkt obronny, to szybkie reagowanie na każdą moją nieobraźliwą nawet zaczepkę. Ta dziewczyna panowała nademną swoją, naprawdę wyjątkową w jej wieku szczerością, wolą swoją, wobec której łamały się wszystkie moje kaprysy, małego, niewytresowanego zwierzątka. W nieobecności matki mojej, a matka moja ciągle prawie nieobecną była, zajmowała się nami stara panna, o surowem obliczu. Była to dawna nauczycielka, egzaltowana, zawsze zmęczona i zachmurzona. Nazywała się Pierlin. Regina przezwała ją Begonją, gdyż nadzwyczaj te kwiaty lubiła. Pierlin-Begonja, zużywała wiele sił na to, aby wpoić w nas pierwsze zasady nauki. Przyjeżdżał również profesor z Nicei aby je uzupełnić . Reginę przedewszystkiem zajmowały nadzwyczajnie wszystkie sławne kobiety z historji, literatury, polityki. Do wszystkich, w których zauważyła jakąś wybitną indywidualność, odnosiła się z entuzjazmem, który skłaniał ją do gromadzenia szeregu fotografij, które umieszczała w swoim pokoju. Podziwiała Agnes Soler, Charlotte Kestner, która była natchnieniem Goethego, Marję Bashkirstseff, i wiele, wiele innych kobiet miłości, rewolucjonistek, uczonych. Badania, o których mi pan opowiadał, nad wybitnemi nicejskiemi kobietami byłyby ją bardzo zajmowały. Regina jednak, z wyjątkową tkliwością ukochała

Lucylę de Chateaubriand, gdyż widziała prześliczną jej miniaturę. Przyznaję otwarcie, że nie podzielałem tego podziwu mojej towarzyszki dla wyjątkowych kobiet. Jednakże nieraz, przy wspólnej nauce porywała mnie entuzjazmem swoim. Z pewnością, byłbym niewiele skorzystał z nauki panny Pierlin, gdyby nie tyranizujący przykład tego stworzenia, które wszystko interesowało. I tylko przykładowi dziecka tego zawdzięczam, że w dziesiątym roku życia, przyjęty zostałem do klasy odpowiadającej mojemu wiekowi, w jednym z zakładów w Nicei. Nie bez buntu zmuszony byłem poddać się rygorowi internatu. Regina została również oddaną do klasztoru, w którym miała znaleźć koleżanki Włoszki i Brazylijki. Ta zmiana warunków życia nie była zdaje się przykrą dla niej. Było jej przyjemniej zapewne żyć w tłumie dziewczynek, jak zapomnianej w parku, w towarzystwie brutalnego, kapryśnego chłopca, który na jej porywy czułości, na jej potrzebę bawienia się lalką, na odruchy pieszczotliwej opieki, tak naturalne u wszystkich dziewczynek, odpowiadał złośliwością, zniecierpliwieniem, i szyderstwem. Przyznaję się, że i ja wówczas wolałem również towarzystwo chłopców. Z przyjemnością jednak spotykaliśmy się na wakacjach w domu. Jednego roku, a miałem wówczas lat szesnaście, a ona piętnaście, przyszedł mojej matce kaprys zabrania nas oboje do Neapolu. Zna pan gorące wieczory w Saint-Lucia, obiady na tarasach trattorji na Borgo del Marina, kobiety w koljach z pereł, wszystkie podniecone zmysłowo piosnkami, które lud przy akompanjamencie gitary śpiewa. Dziewczęta w pięknych, ciemnych, obcisłych gorsetach, o zuchwałych oczach i łatwym uśmiechu... Wracając raz nocą powozem do hotelu, ujrzeliśmy jedną z nich w kącie jakiejś ciemnej uliczki, przegiętą w dzikim uścisku jakiegoś mężczyzny. Ta postać dziewczyny w potężnym uścisku mężczyzny, usta złączone namiętnym pocałunkiem, były dla nas pierwszym objawieniem miłości. Ale wówczas, nie przychodziło nam na myśl nawet, by miłość taka mogła się w nas obudzić, w naszem pustkowiu w Liserb. W następnym roku znaleźliśmy się w tym parku, który był dla nas światem całym, sami, opuszczeni... W tym

lji, w stanie Saint-Paul, z matki Brazylijki a ojca Francuza. Ojca zaledwo znałem. Był to, jak mi opowiadano, człowiek energiczny w interesach, gwałtowny i zazdrosny w miłości; uznawał w życiu jedną miłość tylko. Niema żadnej racji przypuszczać, aby i w tej dziedzinie uczuć, dziedziczność ne odgrywała jakiejś roli.

Jakób Frontier przerwał na chwilę opowiadanie, aby cygaro zapalić. Oczy jego połyskiwały krwawo. Zaczął jednak opowiadać spokojnie.

— Niewielu Francuzów przesiedla się w dzisiejszych czasach do Brazylji. Przed czterdziestu laty, ojciec mój, był zdaje się jedynym Francuzem na tej ziemi, w strefie Mogyana, dokąd rzuciła się wówczas cała emigracja włoska. Nie wiele wiem o przeszłości rodziny mojej. Ojciec mój zawcześnie zmarł, zawcześnie, aby miał czas wtajemniczyć mnie w nasze tradycje rodzinne. Nic wzniosłego, nic również ubliżającego. Słyszałem coś o kupcach jakichś, którzy nigdzie nie osiedlali się na stałe a których dzieci rodziły się tam, gdzie chwilowo zamieszkiwali. Ojciec mój, był prawdopodobnie za zdolny na to i niecierpliwy zanadto, by znosić tę włóczęgę po jednym kraju i zdecydował się na tę wielką emigracyjną podróż do Brazylji. Posiadał mały kapitalik. Człowiek posiadający trochę, nawet bardzo mało pieniędzy, w owych czasach, bogaczem był pomiędzy czterdziestu tysiącami ludzi bez grosza, którzy co roku lądowali w Santos. To też odrazu nabyć mógł „fazendę“ zamiast osiedlać się jako kolonista w okolicach w których żółta febra panowała. Ojciec mój był człowiekiem żelaznej woli, zdolnym do nagięcia szczęścia ku sobie, chciał szybko dopiąć celu swego. Po trzech latach pobytu w Brazylji, otrzymał jedną z wyjątkawych koncesyj, zarezerwowanych wyłącznie dla rodzin tamtejszej portugalskiej arystokracji. Minister Antoni Prado, który wszystkich emigrantów z Europy gromadził w swoim kraju, popierał tego ambitnego i dzielnego człowieka. Mój ojciec miał szereg zuchwałych pomysłów. Ten mały kupiec z Francji przybyły, przeistoczywszy się w brazylijskiego rolnika, nie poszedł drogą zwyczajem utratą. Pierwszy wprowadził chemiczne nawożenie roślin kawowych, i to było przyczyną jego szybkiego wzbogacenia

— A patrzy pan na nią dlatego, bo myśli pan w tej chwili o parku Lisesrb i o niebieskiej balustradzie?

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Tak, ona podobna trochę do Reginy z owych czasów kiedy ją pan ujrzał po raz pierwszy.

— I jedyny.

— Tak, pan nie miał czasu ją poznać. Myślał pan wówczas, że Regina moją siostrą była. Pomyłka ta była całkiem naturalną zresztą... Dziecko... Dwoje dzieci... W tej chwili przypomina pan sobie tę, o ciemnych bujnych włosach dziewczynkę, żywą, wesołą psotnicę... Wzrok bystry, a już palący, zachowanie rozstrzepanej pensjonarki, która z dzikiemi okrzykami biegła właśnie przez park, i cała zadyszana jeszcze, potrząsając głową, jak dzikie zwierzątko, przechyla się po przez balustradę i drwi z przechodnia... Dziecko, mówię panu, prawie tak dziecinna jak ja, duży chłopiec, bez wykształcenia, kontroli, bez karności, pchnięty w obręb podzwrotnikowego ogrodu w Nicei... Ah! Pan wyobrażał sobie, że to siostra moja... W istocie, nie mylił się pan bardzo, ale musi pan poznać historję naszą, historję dzieci i młodości, historję, która wyda się panu albo banalną bardzo, albo niezwykłą... Zależeć to będize od nastroju umysłu pańskiego...

— Myślę, że pan za młody jeszcze, aby przeszłość sądzić, powiedziałem.

— Przeszłość... Zapewne, ludzie mają manję o przeszłości opowiadać, o swojej przeszłości, wówczas kiedy trudno teraźniejszością nawet zainteresować kogoś... Uważa mnie pan za młodego? Nie przyznaje mi pan prawa do posiadania przeszłości? O panie, przeszłość, o której chcę mówić z panem, jest w części tylko przeszłością, zrozumie pan zaraz, w jaki dziwny sposób z teraźniejszością się łączy... Jest to przerażające nawet, że wystarczyłoby mi pójść do telefonu, gdzie przed chwilą dawałem zlecenia gieldowe, aby dzięki nieświadomości może, albo anonimowemu wezwaniu, usłyszeć głos z przed dziesięciu laty, głos, który od lat dziesięciu, na mój głos nie odpowiada... Panie! Urodziłem się w Brazy-